

Słuchać jednak, że ona coraz to i słabiej gada. Ucieka z niej gadanie jak ze mnie dusza.

Mówią, że z tego samego zrobione.

## Uriel

Jestem...

Nie! Zręczniejszy byłoby powiedzieć: nazywam się!

Tak: „nazywam się” brzmi lepiej! I... niezobowiązująco.

Nazywam się... Kiedyś, dawno temu, w Portugalii, wołali na mnie „Gabriel”. Gabriel Da Costa. Ale jak kto powie „Acosta” — też nie będzie błędu. A potem zmieniłem imię i... stałem się Urielem.

Więc może jednak: „jestem”?

Ależ tak! Jak mogłem o tym nie pomyśleć: „jestem” brzmi tak dostojnie, i głębiej przenika w istotę rzeczy. A poza tym ma w sobie coś boskiego. Bo czy Bóg powiedziałby o sobie: „nazywam się”? „Dzień dobry, Mojżeszu, nazywam się Pan Bóg”. Nigdy! „Jestem, który jestem”.

A więc jestem! Jestem...

No cóż, prawdę powiedziawszy, jako Portugalczyk byłem chrześcijaninem — choć najpierw, po rodzicach, byłem Żydem, a potem dopiero Portugalczykiem — wszelako, jako Portugalczyk, SIŁĄ rzeczy zostałem chrześcijaninem, nie przestając być żydem, przez co okrzyknięto mnie marranem, czyli świnią, więc ostatecznie, jako marran, czyli świnią, wolałem raczej zostać Holendrem, ponieważ tylko jako Holender mogłem być żydem.

Poza tym byłem jeszcze filozofem i handlarzem, skruszonym buntownikiem i heretykiem znieważającym własne słowa...

A może jednak: „nazywam się”?

Och, nie, nie! Bo co to za rzecz — IMIĘ! Jakie ono ma znaczenie? Ty dobrze o tym wiedziałeś, Panie! Dlatego nam zostawiłeś imiona, a sobie... Jakże ja Ci ryb zazdrościć! Tak, ryb najbardziej! I muszli, z wnętrzem jak zorza! I motyli! I chmur! Bo tak między nami mówiąc: jakie to żenujące zajęcie — nadawać imiona! Jakby kto przywiązywał blaszankę do kociego ogona. Ten dźwięk, przed którym biedne stworzenie nigdzie nie może uciec...

Ostatecznie... mógłbym jeszcze raz rozważyć owo „jestem”, ale...

Pamiętam, szedłem kiedyś po Kalverstraat i jakiś człowiek krzyknął za mną po portugalsku: „Papa-formigas, papa-formigas!”. „Ojciec mrówek”. Bo niby prawda o mnie, jak mrówki, rozłazi się we wszystkie strony.

Nikt już nie dojdzie, kim jestem ani jak się nazywam.

O Panie! Gdyby jedno przywierało do drugiego równie ciasno i żarliwie jak łydki Fransiny do moich pośladków — nie musiałbym bładzić tak straszliwie w poszukiwaniu prawdy o sobie! Ja i moje imię! Na zawsze razem: imię, wierne jak pies, podążałoby za mną wszędzie, krok w krok, by potem, w dniu śmierci, położyć się na moim grobie i czekać w milczeniu na własne odejście.

Moje imię i ja! Za obietnicę zawartą w imieniu JA stałbym się jego jedynym znaczeniem! Zawsze razem, nierozdzielni i jakby STWORZENI dla siebie! Zawsze nieomylnie odnajdujący się nawzajem niczym soczysty krzaczek Fransiny i mój...

A właściwie... co z tego, że się rozłazi!?

Im kto większy, tym więcej rozmaitej prawdy musi w sobie pomieścić — każdy z nas jest po trosze wszystkim na tym świecie! No, może z wyjątkiem naszego rabina Jacoba Sasportasa — prawda o rabinie Sasportasie zmieściłaby się na czubku włosa z łona jego świątobliwej żony!

A jeśli się rozłazi, to znak, że trzeba by znaleźć coś solidnego i trwałego, czym dałoby się przyszpilić taką miałość jak istnienie.

Pewnej wietrznej nocy przyszło mi do głowy, że dusza musi być rodzajem żelaznego pręta, na który nadziewa się ochłapy losu, niczym kawałki rozmaitych mięs, aby je później wędzić „w dymie dni naszych”, jak powiedział Psalmista. Napisałem traktat o materialnej i śmiertelnej duszy, takiej jak moja... laska z toledańskiej stali — dźwięcząca towarzysząca ciała, rytmiczna podpora słów i ostoja myśli, obrona przed nicością i złodziejami — która, nieulekniona, odejdzie ze mną na ostatnią wędrówkę w głąb ziemi, zamiast szlajać się nie wiadomo gdzie, w oczekiwaniu na Dzień Sądu!

„Ty żelazną różgą będziesz nimi rządzić, Panie!” — mówi Pismo.

Za to mnie oskarżono, skazano i wyklęto.

Za to „przeklęty niechaj będzie w dzień, i przeklęty w nocy, przeklęty, gdy wstaje i przeklęty, gdy się kładzie, przeklęty, gdy wychodzi z domu, i przeklęty, gdy doń wchodzi! I nikomu nie wolno zbliżać się do niego na mniej niż cztery łokcie”.

Pod koniec życia nie byłem już ani żydem, ani chrześcijaninem, Portugalczykiem czy Holendrem, nie buntowałem się i nie prowadziłem interesów, samotność stała

się ciężarem trudnym do udźwignięcia, a za jedyną podporę służyła mi moja duszyczka. Nie obraż się, Panie, ale używałem jej wyłącznie jako laski podczas długich spacerów po Amsterdamie. Jednak około roku 1640 zmodyfikowałem teorię Duszy-Jako-Żelaznego-Pręta. Łydki Fransiny podskakiwały już na tyłku sędziego Houbrakena, a mnie kwietniowe powietrze kompletnie zamąciło w głowie. Zaczęło mi się zdawać, że dusza jest maleńką Ołowianą Kulką. Najpierw długo trzymałem ją w ręku, podziwiając jej kulistą doskonałość i niewinność, potem zaś, nie wahając się zbytnio, umieściłem ją w miejscu, które, jak wierzyłem, jest jej stałą siedzibą — w sercu.

I to miał być koniec mojej historii. Tak to sobie przecież wymyśliłem: żadnej nieśmiertelności, żadnego szwendania się po zaświatach! Raz tylko żyjemy i nikt z nas nie przedłuży się w wieczność wiedziony Twoim pasterskim kijem, Panie! Tak to sobie zaplanowałem! I tak miało być! A jeśli Ty wszystko wiesz, to musisz wiedzieć i to, że mam rację! Wyszło na moje: dusza JEST materialna, tak jak mówiłem! Choć przyznaję: czasem trochę za twarda i mało się zużywa! A w materialności swojej zbyt długowieczna i trwała — przynajmniej w porównaniu z ciałem! No cóż, myślałem, że razem z nim rozpadnie się w proch, a tymczasem... Proszę, jak lśni! Ani śladu rdzy — od razu widać, że ze szlachetnego materiału zrobiona. W końcu czymże innym dałoby się przyszpilić całą miałość, z jakiej się składam? A poza tym — jest poręczna. I przydatna w życiu. Po trzystu siedemdziesięciu latach mogę chyba coś o tym powiedzieć. Zobacz, ciągle w dobrym stanie — jeśli właściwie się z nią obchodzą.

O Panie, żebyś Ty wiedział, gdzie ja nie byłem!

Pierwej kupił mnie za bezcen sędzia Houbraken, razem z dziurkowanym kaftanem i pludrami wypchanymi włosiem, ale że się Fransina zbyt pieszczotliwie ze mną obchodziła w sypialni, z zemsty ofiarował mnie kucharzowi okrętowemu, Franciszkowi Coron, do grzebania w węglach, jednakże ów Coron, szlachetność mojej substancji doceniwszy, zabrał mnie był ze sobą do pałacu, kiedy został gubernatorem Batawii, a stamtąd już ukradł mnie doktor van Riebeeck i uwiózł na Decimę, sztuczną wyspę w porcie Nagasaki, dla trzymania Holendrów specjalnie utworzoną, gdzie się ze mną nie rozstawał ani w dzień, ani w nocy, przez co wielce mu byłem pomocny, gdy nocą uciekał z pałacu japońskiego cesarza, którego z dyzenterii nie zdołał uleczyć, za co doktor ów z wdzięczności zabrał mnie do Afryki — tam w gładkości mojej i twardości rozkochał się wódz Zulusów, zaś jego prawnuk, Keczwojo, tak długo nurzał mnie w krwi angielskiej, aż sam końca zażył w bitwie pod Ulungi, wtedy to kawalerzysta John Garshow, jako trofeum, wysłał mnie do Ameryki, gdzie grałem w filmach, potem zaś urodę moją i twardość mając na względzie, wzięto mnie do polityki: tak, Panie, to ja, stojąc przed Rooseveltem, wypowiedziałem wojnę Japończykom — byłem podówczas stojakiem na mikrofon.

Teraz jestem własnością Gumajki. Nie, nie! Ja się nie skarżę! Gumajka wcale nie jest taka zła! Ma litościwe serce, a że czasem trochę wypije... Sam pomagam jej coś znaleźć — w ostateczności może być dykta, smrodliwa nalewka w kolorze fiołków. Raz nawet rozbiłem witrynę sklepową. Tak, przyznaję się, Wysoki Sądzie, zrobiłem to dla niej! Trzy tygodnie spędziłem potem w policyjnym

depozycie, już prawie straciłem nadzieję, że ujrzę kiedyś światło dnia! Ale ja się nie skarzę, mogło być gorzej! Słyszałem, że dusza tego Bento, Barucha czy, jak kto woli, Benedykta Spinozy, dostała się na koniec, razem z całym inwentarzem, jego gospodyni, a ta nieuczona kobieta, niczego nieświadoma, używała jej przez wiele lat jako... szprycy do robienia lewatywy!

A Gumajka nie jest niczemu winna — to wszystko przez ten śmietnik, Panie!

Przez śmietnik bez początku i końca, góry i dołu, ważnego i nieważnego, gdzie chwile dodają się jak ziarenka piasku w klepsydrze, wiatr wszystko miesza, a fragmenty z najodleglejszych zakątków nieustannie zamieniają się miejscami, jakby chciały choć przez chwilę zakosztować bytu, który nie został im dany: ból zęba staje się zepsutą okiennicą, stukającą na wietrze, samotność — kamieniem w gardle, dusza — żelaznym drągiem, a zmęczenie... Zmęczenie jest w istocie ulicą Parkową, na wysokości Bulwaru Olimpijskiego, kiedy wracamy tamtędy każdego wieczora. Gumajka brodzi co dnia w śmietniku po kolana, mozolnie przymierza do siebie wzajem krawędzie zdarzeń, lecz one, obojętne i obce w jej rękach, tylko prześlizgują się po sobie i nie dają zadzierzgnąć.

A czasem coś takiego się z nią robi... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Biję mną na oślep, że nawet szczury się jej boją! I co ona wtedy wykrzykuje! Jezu Chryste! Że wynikanie soboty z piątku nie jest aż tyle warte, żeby na nim oprzeć całe życie! Że jej potrzeba jakiegoś Ostatecznego Wiązania, czegoś naprawdę solidnego, czego mogłaby się chwycić! Czegoś nieśmiertelnego jak...

## Gumajka

Iiiiiijaaaaahoooo!

Z drogi śmierzizadki!

Z drogi szczury i gołębie!

Zamykamy bufet dla wron i karaluchów!

Teraz ja się będę tutaj gościć — będę jadła, będę piła, będę się weseliła! Iiiiiijaaaaaaaahoooooo!

Ale... czemu my tacy okrutni, nie wiesz ty przypadkiem, Urielu? Na żyznym śmietniku każdy się pożywi, i miejsca starczy dla każdego. No to posuńcie się tylko, ścierwojady, i zasiądźmy do stołu razem — w zgodzie i miłości!

A ty mi pomóż, Amsterdamski Drucie! Zajrzyj szybko do kubła, zobacz, co my tam dzisiaj mamy?

Mów, co widzisz, kochaniutki! Syto jest? Coś taki milkliwy? Skorośmy już zostali przenicowani na lewą stronę rzeczywistości — cieszymy się ze skarbów, które zsyła nam strona prawa! O, weźmy ten kawałek: czy nie jest piękny? Szczególnie, jeśli spojrzeć nań: o tak! Nie! Raczej z drugiej strony... Albo pod światło... Ech, nie ważne, Urielu, ten fragment, chwała Bogu, nie musi już być żadną tandetną sosjerką ani wazonem, zbuntował się przeciw własnym krawędziom, umknął kształtowi, wyr-